

Przekłete szczęście



BOLESŁAW PRUS

Przekłęte szczęście

I. TROCHĘ ŚWIATŁA

Pan Józef i pani Helena Wilsy zaślubieni byli dopiero od pół roku. Działo im się dobrze na tym świecie, choć — nie najlepiej. Mieli trzy pokoje, w nich mebelki, takie tam — nieosobliwe, parę oleodruków¹, które im ofiarował družba, i starą sługę Mateuszową, która przyszła Bóg wie skąd, ale jeść gotowała niezgorzej.

Do inwentarza tego pani Helena wniosła niewiele. Naprzód kanarka, którego razem z klatką podarowała jej ciotka. Ciotczysko ubogie, więc i prezent nie był kosztowny; ale, że jadł i śpiewał, cieszone się nim i powieszono w oknie, jak należy.

Razem z kanarkiem wkwaterował się kuferek z bielizną, jeszcze jeden kuferek z sukienkami, pudło z kapeluszem i toaleta nie wiadomo z czym. Dorożkarz, który przywiózł to biedactwo, dostał pół rubla i był kontent², a Helunia, ustawivszy kufarki, pudełko i toaletkę na właściwych miejscach, także była kontenta nawet więcej, aniżeli dorożkarz.

W kilka dni po wprowadzeniu się do nowego gniazda, pomiarkowawszy³, że jej czegoś brak, sprawiła sobie fartuszek z kieszeniami i napierśnikiem. Czysty to był fartuszek, jak złoto i miał u dołu falbanki; młoda gospościa ubrała się weń czym prędzej i chodziła całą dobę, trzymając ręce w kieszeniach, a nazajutrz schowała go do szafy, gdzie leży po dziś dzień. Prawdę powiedziawszy, nie było do czego stroić się w fartuszek.

W tydzień potem przybył nowy frasunek⁴ w domu; w jego następstwie pani Helena zawiesiła w oknach bardzo gęste muślinowe franki. Mąż przyznał, że dobrze zrobiła, choć nie wiedział dlaczego; ale ja wiem. Miał ten pan brzydki, choć niezupełnie grzeszny zwyczaj często całować żonę. Całował ją w pierwszym pokoju, w drugim i trzecim, na krześle, pod lustrem i przy oknie, a zawsze w sposób wyczerpujący. Naprzód w lewą rączkę, potem w prawą rączkę (albo na odwrót), potem w szyjkę z czterech stron, potem w buzię ze wszystkich stron...

Są fakty dowodzące, że pani Heleny całusy nie nudziły, ani martwiły, lecz niewątpliwie jest, że w czasie tych uroczystości odwracała głowę od okna. Mąż przyznawał, że jest to zabawne, choć nie wiedział, dlaczego odwracała głowę od okna, ale żona wiedziała, że robi to z obawy. Naprzeciw nich bowiem było inne okno, a w nim pewien żółty starzec z rzadkimi, siwymi faworytami⁵. Ile razy młodzi poczynali się całować, tyle razy staruch ukazywał się w swoim oknie, w białej szlafmicy, z ponsowym fontaziem⁶ na wierzchu, i śmiał się, mrużąc oko i pokazując zęby takie żółte, jak on sam.

Helunia ze złości kupiła dziesięć łokci muślinu i pozasłaniała wszystkie okna. Od tej pory zamiast skrzywionej twarzy sąsiada widziała tylko pąsowy fontaż jego szlafmicy, który trząsał się jak galareta, prawdopodobnie z wielkiej irytacji. Dobrze tak dziadziaskowi: niech się nie śmieje!...

Na śmierć zapomnieliśmy dodać, że oprócz niewielkich kufrów, pudełka, toaletki i kanarka, przyniosła Helenka na nowe gospodarstwo jeszcze coś. Ale co?... Nie suszcie sobie, ludzie, głowy na próżno, bo nigdy nie zgadniecie!... Oto przyniosła parę rączek

¹oleodruk — rodzaj reprodukcji, starającej się naśladować obraz olejny. [przypis edytorski]

²kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

³pomiarkować (daw.) — zorientować się, zauważyć. [przypis edytorski]

⁴frasunek — zmartwienie. [przypis edytorski]

⁵faworyty — baczki. [przypis edytorski]

⁶fontaż — kokarda noszona zamiast krawata na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

drobnych, białych i pulchnych, a z nimi pracowitość mrówki; do tego zwój włosów gęstych i miękkich jak jedwab i dwoje oczu jak pogodne niebo; wreszcie nosek zadarty i usta koralowe, i zęby drobne a białe, i serce takie szczere a czyste, takie kochające i wierne, jakiego, ach! dobrzy ludzie, trudno między nami odszukać.

Pewnego dnia (miała już wtedy lat siedemnaście), dzisiejszy mąż jej, a ówczesny student szkoły politechnicznej, rzekł do niej:

— Chciałbym pani coś powiedzieć...

— Niech pan powie — odparła.

— Kiedy się boję!...

— To musi być coś niedobrego?

— Kocham panią.

Helenka otworzyła usta ze zdziwienia, a potem odpowiedziała:

— A wie pan, że... to dobrze.

— A pani mnie kocha?

— Czy ja wiem?...

— A będzie pani czekała na mnie?

— O, niezawodnie!

— Mam pani słowo. Jak skończę szkołę, pobierzemy się.

— Proszę być przyzwoitym! — zgromiła go Helunia.

Tyle tylko mówili o miłości, a we trzy lata pobrali się.

Władysław był mechanikiem, co jego żonę obchodziło niewiele, i miał opinię zdolnego i szlachetnego człowieka, a to ją obchodziło więcej. Miał przy tym ładną figurę, czarną brodę i włosy, piwne oczy i piękną twarz, co Helunię obchodziło jeszcze więcej. Wreszcie kochał ją, a ona za nim szalała.

Rezultatem takiej kombinacji zdrowia, urody i przywiązania była wielka radość w trzech pokoikach na drugim piętrze, przez całe pięć miesięcy bez czegoś. Od kilkudziesięciu dni jednak na horyzoncie małżeńskim ukazał się punkt czarny: Władysław nie miał roboty!

Bankier Welt, przy którym Włski w ciągu roku zarobił półtora tysiąca rubli, jakoś od dnia ślubu zaniedbał mechanika, a wreszcie zupełnie się od niego odsunął. Pozostały oszczędności, nadzieje i robota dorywcza, wszystko to jednak nie wystarczało na utrzymanie domu. Ograniczono więc wydatki, zmieniono ostatnią dwudziestopięciorublowkę i... wydano przedostatniego rubla!...

Dzień ten był bardzo przykry dla małżonków. Władysław, unikając wzroku żony, zamknął się w swoim pokoju po to, aby robić sobie wyrzuty, że unieszczęśliwił kochającą go kobietę. Helunia znowu, widząc męża zmienionego ze smutku, sobie przypisywała kłopoty i mówiła:

— Moj Bóże! Gdyby on się ożenił z bogatą?... Ja bym chyba umarła, ale na cóżem ja się zdała komu na świecie?!... Zeszłego kwartału sprawiłam sobie aż za dziesięć rubli sukienkę!... Ach!... Gdyby ją kto odkupił!...

Tak myślała, stąpając na palcach i oglądając swoje kwiatki. Niekiedy podchodziła pod zamknięte drzwi mężowskiego pokoju i słuchała. Ale tam było cicho. Natomiast z kuchni dolatywał łoskot przesuwanych rondli, a z okna świergotanie kanarka.

— Czego ten kanarek tak wrzeszczy?... — odezwał się nagle Władysław z odcieniem niecierpliwości w głosie.

— On już będzie cicho! — odpowiedziała Helenka, następnie zbliżywszy się do klatki, dodała półgłosem: — Cicho, mój ptaszeczku, cicho! Pan się gniewa na nas, cicho!...

Kanarek spojrział na nią naprzód jednym okiem, potem drugim, ruszył ogonem na prawo i na lewo, a potem zaświergotał jeszcze głośniej. Przestraszona Helenka nakryła mu klatkę czarnym szalem, ptak uspokoił się.

— Teraz pewnie będzie spał — rzekła i przystąpiła do drzwi mężowskich.

Położywszy jednak rękę na klamce, jakby spłoszona swoją śmiałością, cofnęła się na środek pokoju i stała tak parę chwil, tłumiąc, oddech w piersiach.

— Nie można mu przeszkadzać! — rzekła i, wprowadzając w czyn tę uwagę, otworzyła drzwi.

— Czyś mnie wołał, Władziu? — spytała.

— Nie.

Zbliżyła się ostrożnie do siedzącego męża i pocałowała go.

— Myślałam, żeś mnie wołał.
— Ten kanarek mnie drażni — odparł Władysław.
— Przykryłam go, już śpi.
Znowu go pocałowała.
— A jeżeli będziesz potrzebował — mówiła dalej — to zawołaj... Jestem ciągle w drugim pokoju...
I znowu go pocałowała.
Potem popatrzyła chwilę na smutną twarz męża i wyszła po cichu, zamykając drzwi za sobą...
„Rzekł onego czasu Pan Bóg: niedobrze być człowiekowi samemu...”
„A gdy stworzył Pan z ziemi wszelki zwierzę polny...”
„Tedy przypuścił twardy sen na Adama, i zasnął: i wyjął jedno żebro jego i zbudował Pan z żebra onego, (które wyjął z Adama), niewiastę i przywiódł ją do Adama...”
O, Panie! O, Panie!

II. TROCZĘ CIENI

Pokój Władysława był obszerny i widny, jak przystało na pracownię technika. Prócz niezbędnego biurka, szezlonga i krzeseł, był tam stół do rysunków, mały warsztat ślusarski i stolarski do robienia modeli, książki, plany, modele i mnóstwo narzędzi, które mają przywilej budzenia ciekawości profanów⁷. Na wszystkich tym jednak znać było bezrobocie. Ani jeden wiórek, ani jedna szczypta opiłków nie zanieczyszczała warsztatu. Tusz i karmin w miseczkach wyschły, plany pożółkły, a na rajzbretach⁸ i rozpoczętych rysunkach leżała warstwa kurzu.

Władysław czytał z hydrauliki rozdział o turbinach. Gdy weszła żona, z niewymowną goryczą przypomniał sobie, że przed tygodniem żądano od niego planu turbinowego młyna, wczoraj zaś odpowiedziano mu, że młyn zbuduje kto inny.

— Miałem też po co pracować całe lata wśród niedostatku — szepnął, pomyślawszy, że owym lepszym od niego ktosiem był cieśla od wiatraków, który plany układał z patyków.

Po tej uwadze rzucił hydraulikę i wziął się do rachunku całkowego. Tu wzrok jego padł na formułę: $T(1) = T(2) = 1$, i otóż przypomniał sobie że ma tylko jednego rubla w domu!

— Ja mógłbym jeść przez parę dni suchy chleb, do którego się przyzwyczałem, ale ona?!...

„O mnie nie myśl, mój Władziu... ja mogę jeść suchy chleb, nieraz mi się to przecież zdarzało...”

Obejrzał się, ale w pokoju nie było nikogo. Teraz dopiero przypomniał sobie, że słowa te przed kilku dniami powiedziała mu Helunia.

„Ja tam z państwem za jedno; jak państwu, tak i mnie!...” — odpowiedziało echo wspomnień głosem Mateuszowej.

— Wielki Boże! Jakież ze mnie egoista!... — pomyślał i krew uderzyła mu do twarzy. Z tym wszystkim, na trzy osoby jest w domu rubel!...

Odwrócił kilkanaście kart książki i trafił na formułę prawdopodobieństwa zdarzenia przyszłego ze zdarzeń przeszłych.

— Jeżeli przez czterdzieści dni nie miałem roboty, jakie jest prawdopodobieństwo, że ją dostanę jutro?

— Jedna czterdziesta pierwsza! — odpowiedziała formuła.

Ciekawym bardzo, jakie też jest prawdopodobieństwo, że zostanę złodziejem lub samobójcą?...

Formuła milczała.

Przez okno widać było śnieg topniejący na dachach, parę napuszonych wróbli i skraj nieba. Władysław podniósł oczy na niebo i pomyślał, że dziś jest połowa marca, i że nie prędzej niż w maju dostanie miejsce rysownika w fabryce, z pensją trzydziestu rubli na miesiąc, za dziesięć godzin pracy!...

⁷profan — laik. [przypis edytorski]

⁸rajzbret — deska kreślarska. [przypis edytorski]

Odrzucił rachunki i wziął *Maksymy* Epikteta⁹. Filozof niewolnik bywał często lekarzem zbolącej duszy; Władysław otworzył książkę i począł przewracać kartki. „Wygnaaj twoje pragnienia i obawy — mówił mędrzec — a pozbędziesz się tyrana.”

„O, ślepy i niesprawiedliwy! Mógłbyś tylko zależeć od siebie, a chcesz zależeć od tysiąca rzeczy, które ci są obce i które oddalają cię od prawdziwego dobra!...”

Władysław nagle przestał czytać i słuchał. W drugim pokoju szeptało.

— Pani! — mówiła Mateuszowa — Kobieta masło przyniosła.

— Nie wezmę dziś — odparła Helunia.

— Śliczności masło, pan takie lubi...

— Niech przyjdzie na drugi raz.

— Co tu czekać na drugi raz?... Ona już nie przyjdzie tak prędko! Zresztą... ja kupię za swoje, to pani mi odda? Mam przecie trzymaście rubli...

Chwila milczenia. Władysławowi opadły ręce.

— Powiedziałam Mateuszowej, że nie chcę! — odparła Helunia.

Służąca oddaliła się, mrużąc.

— Mam rubla — szepnął Władysław.

Potem przypomniał sobie, że dziś jest środa, i że jutro przyjdzie do nich na obiad pewien ubogi student, brat zmarłego kolegi.

„Nie pragnij, aby w świecie działo się tak, jak ty chcesz, ale chciej, aby się działo tak, jak się dzieje, a będziesz zawsze zadowolony”.

Władysław ruszył ramionami, złożył książkę i upadł na szezlong. Podobna filozofia dobra była dla ludzi, którzy wypiszy czarną kawę, idą spać po smacznym obiedzie, albo dla tych, w których cierpienie wyplenilo już wszelkie uczucia.

Leżąc na szezlongu, przymknął oczy, jak człowiek, który chce przypatrzeć się wnętrzu swojego ducha, i ze zdumieniem rozmyślał, z jak małych przyczyn powstają wielkie bolesti.

— Jutro — mówił — nie będzie już w domu ani grosza. Gdybym był sam, śmiałbym się z tego, ale mam żonę... Ach! Jej rezygnacja zabija mnie!... Od czterdziestu dni prosiłem, zebrałem o pracę i nie dano mi jej... Dziś techników więcej, niż szewców... Wyjechać nie ma gdzie i nie ma po co. Umrzeć?... Jeżeli rzeczy zaczną sprzedawać... A jeżeli pojutrze już obiadu nie będzie?...

— Władziu!... Władziu!... Patrz!... — krzyknęła nagle Helenka, wbiegając do pokoju.

— Co to jest?...

— W twojej kamizelce znalazłam pięć rubli... Wzięłam ją do naprawy i w górnej kieszeni... Patrz!...

Władysław usiadł na szezlongu, a żona upadła mu na szyję.

— Widzisz, jaki Pan Bóg łaskaw?... Mieliliśmy tylko rubla w domu, tyś się martwił, widziałam to, i otóż mamy pieniądze. To na parę dni nam wystarczy, a potem będziesz miał robotę!

— Skąd?... — spytał mąż.

— Czy ja wiem, skąd?! — odparła pieszcząc go. — Ale przecież mieć musisz, bo to już ostatnie pieniądze!

— Dziecko!

— Ciekawam bardzo, skąd one się tam wzięły?

— Przypominam sobie. Zdał mi ktoś resztę, ja schowałem pięć rubli do kamizelki, a potem pomyślałem, że zgubił. Rok już tam leżą!

— No, widzisz, jak to nie trzeba się martwić. No, uśmiechnij się! Tak, dobrze... Więc nie podziękujesz żonie, że ci stare kamizelki naprawia?... Ach! Ty nic dobrego... Już trzeci dzień płakać mi się chce! Nie mówisz nic do twojej żony kochanej, na kanarka się gniewasz, desperujesz¹⁰ po kątach. No, przeproś żonę!... Tylko prędzej!... Jeszcze raz!...

Władysław czuł, że pod wpływem tego szczebiotania, a może i znalezionych pięciu rubli, powraca mu spokojność. Uśmiechnął się ze swojej rozpacz i prawie nie mógł wierzyć, że tak drobna rzecz, jak znalezienie trochy pieniędzy, może przywrócić zachwianą równowagę i zniszczyć wielką burzę duchową.

⁹Epiktet z Hierapolis (ok. 50–ok. 130) — filozof rzymski, przedstawiciel stoicyzmu. [przypis edytorski]

¹⁰desperować — rozpaczać. [przypis edytorski]

— Każę już dawać obiad — mówiła Helenka. — Mamy zupę piwną ze śmietaną, z grzankami i z serem i jeszcze kartofle osmażane.

— Uważam, że zupę rachujesz co najmniej za cztery potrawy?

— Ale, bo widzisz, dla ciebie kazałam jaj ugotować.

— A dla siebie?

— Ja jaj nie lubię. Ale zresztą... w tej chwili przyszedł mi apetyt. Każę dołożyć parę, dla mnie i dla Mateuszowej...

Niebawem zrzedna Mateuszowa podała obiad, a Władysław zdjął szal z klatki. Kanarek, zobaczywszy światło, zatrzepotał się i począł świergotać. Towarzyszyły mu wróble na dworze, krople rosy obficie spływające z dachu i wesoły śmiech Helenki.

Teraz Władysławowi nie wiadomo skąd przyszła na myśl wiosna. Przypomniał sobie, że dzieckiem jeszcze będąc, wybiegł pewnego dnia do ogrodu, po wielkim deszczu. Trawa, wczoraj błada, dziś była zielona jak szmaragd; drzewa, okryte wczoraj pączkami, dziś pełne były młodych listków. Na ziemi stały kałuże wody, na niebie jaśniała tęcza, a w jego duszy dziecięcej obudziło się coś, czego jeszcze nie umiał nazwać.

Wszystko to przypominało mu się bardzo dokładnie, skutkiem czego uściskał i ucałował żonę, która mimochodem spojrzawszy przez firankę, dostrzegła w oknie po drugiej stronie śpiczastą szlafmycę¹¹ z fontaziem i żółtą twarz chytrego staruszka.

Chudy starzec śmiał się jak dawniej i jeszcze mocniej przymrużał oko, lecz tym razem Helenka nie gniewała się na niego. Miłosierny Bog tak już ten świat urządził, że młodzi mężowie cieszą się na nim pięciorublówkami, młode żony mężami, a staruszkowie radością młodych!...

III. WIDZIADŁA

W parę dni, małżonkowie mieli jeszcze całkowite trzy ruble, lecz widoków na robotę nie było. Mimo to cieszyli się jak dzieci i nie bez powodu. Dziś był u nich na herbacie dawny a wypróbowany przyjaciel Władysława, zarazem družba obojga, Józef Grodzki, który w przejeździe spod gór Uralskich do Londynu, wstąpił na kilkanaście godzin do Warszawy.

Grodzki, z powołania inżynier, od pół roku mieszkał na granicy Azji i robił tam fortunę. Był to blondyn niski i tłusty, mówiący głośno, śmiejący się jeszcze głośniejszym, przy tym energiczny, trzeźwego umysłu i z najlepszym sercem chłopak. Kochał Wilskich jak własną rodzinę i przywiózł im z odległej swojej siedziby gościńca¹²: parę chińskich filiżanek, okruch rodzimego złota i kawał malachitu.

W tej chwili troje naszych przyjaciół siedziało przy herbacie, a Grodzki opowiadał im swoje dzieje, które zakończył w następujący sposób:

— No! A wam jakże się powodzi?... Spodziewam się, że dobrze! Ja mam wprawdzie sześć tysięcy rubli pensji, lecz w kraju, gdzie nie wierzą w skarpetki i chustki do nosa, człowiek, chcący żyć po europejsku, musi dużo wydawać. Toteż zaledwie uciułałem sobie tysiąc rubli i te złożyłem dzisiaj w naszym banku. Nędza!... Co?...

Usłyszawszy to, Helenka podniosła na męża swoje słodkie, szafirowe oczy z dziwnie żalonym wyrazem, a Władysław lekko brwi zmarszczył. Grodzki uchwycił w przelocie tę niemą rozmowę biedaków, czegoś się domyślił, i rzekł:

— Z tym wszystkim mam duży kłopot. Obstalowano¹³ u mnie projekt tartaka parowego i takiegoż młyna. Wierny zasadzie: drzyj łyko, dopóki się da, przyjąłem obstalunki, zacenilem trzysta rubli sztukę, a pieniądze wzięłem z góry. Dziś za karę będę musiał szukać technika, który by je wykonał, a czasu nie mam.

— Może by Władzio?... — wtrąciła śpiesznie Helenka, oblewając się purpurowym rumieńcem.

Władysław siedział jak na szpilkach.

— Władzio!... — odparł Grodzki. — Najchętniej oddam mu robotę, byle ją tylko raczył przyjąć. No, i cóż ty, Władysławie?...

— Przyjmę!

¹¹szlafmyca (z niem.) — dawne nakrycie głowy, zakładane do snu. [przypis edytorski]

¹²gościńiec (daw.) — podarunek. [przypis edytorski]

¹³obstalować — zlecić rzemieślnikowi wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

— Brawo!... Tak to rozumiem, skończymy interes w dwu wyrazach. Notatki i pieniądze dam ci zaraz. — Z tymi słowy inżynier wydobyl z kieszeni bajecznej wielkości pugilares¹⁴, pełen pieniędzy, weksli¹⁵ i notat, wyjął stamtąd kawałek papieru, zapelnionego cyframi, sześć sturublowych bankocetli¹⁶ i wszystko to położył na stole.

— Wydobyłeś nas z ciężkiego kłopotu! — zawołał Władysław, ściskając go za rękę, po czym opowiedział mu o swym położeniu.

— Niepocziwi! — wykrzyknął inżynier. — Gdybyście byli do mnie choć słówko napisali, pożyczylbym wam kilkaset rubli na parę lat bez procentu!...

Po podziękowaniach i obustronnych zapewnieniach o przyjaźni, rozmowa skierowała się na inny przedmiot.

— Cóż, Władysławie, jakże będzie z naszą spółką i fabryką?... — zapytał, śmiejąc się, Grodzki.

— Dojrzewa w biurku! — odparł tym samym tonem Władysław.

— Trzeba pani wiedzieć — mówił inżynier, zwracając się do Helenki — że mąż jej co dzień tworzył nowy projekt, a każdy filantropijny, choć zresztą bardzo rozsądny. Między innymi namawiał nas, w szkole jeszcze, abyśmy, powróciwszy do kraju i dorobiwszy się pieniędzy, założyli fabrykę płótna...

— Na którą ma pan obecnie tysiąc rubli, a Władysław żonę — przerwała Helenka.

— I to jest kapitał — odparł Grodzki. — Otóż nasza fabryka, mówię pani, miała stanowczo wyrugować płótna zagraniczne i wywołać przewrót w tego rodzaju zakładach krajowych. Władysław zaprojektował nowy system wentylacyjny dla zdrowia robotników, dalej tantiemy i emeryturę znowu dla nich. Dalej czytelnię dla dorosłych, bardzo znakomitą szkołę dla dzieci i pewien rodzaj seminarium dla praktykantów.

— Marzenia!... — wtrącił ze smutkiem Władysław.

— Pozwól sobie powiedzieć — odparł Grodzki, — że wolę te marzenia naszej młodzieży od knajpiarstwa i burszynady¹⁷ studentów niemieckich. Powiem ci nawet więcej, że twoje marzycielskie projekty uczyły nas na obczyźnie myśleć o kraju i jego potrzebach, i że one to właśnie zjednały ci serca wszystkich. Nie opuszczaj zatem rąk. Nie uda nam się fabryka płótna, to założymy kuźnię wzorową; nie uda się szkoła techniczna, to spróbujemy otworzyć porządne warsztaty. Ja wcale nie daję za wygraną. Dziś jestem na drodze do majątku i honorem ci ręczę, że skoro zbiorę kilkanaście tysięcy rubli, przypomnę ci twoje projekty.

Gadatliwemu inżynierowi świeciły się oczy, gdy to mówił. Cała jego fizjonomia¹⁸ wyrażała energię, zapał, a nade wszystko ufność we własne siły, której nieco znękaný Władysław już nie posiadał w takim stopniu.

— Ile to potrzeba pieniędzy na fabrykę! — odezwała się Helenka, kręcąc głową.

— Zapewne, że wiele! Z tym wszystkim jednak mąż pani, gdyby umiał kuć żelazo na gorąco, mógł był już dawno utworzyć podobną fabrykę.

— Ja?... Jakim sposobem?... — zapytał zdziwiony Władysław.

— Cha! Cha! Nie pamiętasz, serce?... — wykrzyknął Grodzki. — Trzeba było myśleć o fabryce pół roku temu, wówczas gdy się w tobie kochała pani bankierowa Welt...

— We mnie?... Bankierowa Welt?... — powtórzył jeszcze bardziej zdumiony Wilski.

— O, prostaku! O, niewinny baranku! — wołał Grodzki.

— Cały świat wiedział, że szaleje za nim ta pocziwa kobiecina, a on nie wie o tym do dziś dnia! Cha! Cha! Cha!

Helenka, słuchając, zapomniała o samowarze, skutkiem czego gorąca woda przelała się już przez wierzch szklanki. Drobny ten wypadek skierował rozmowę na inny temat i pozwolił Władysławowi ukryć niespodziane, lecz wielkie zakłopotanie, jakiego w tej chwili doświadczył.

¹⁴pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

¹⁵weksel — dokument zobowiązujący do zaplacenía określonej sumy w oznaczonym terminie. [przypis edytorski]

¹⁶bankocetle (z niem.) — banknoty. [przypis edytorski]

¹⁷burszynada (z niem. Bursch: student niemieckiej akademii) — korporacja akademicka o charakterze narodowym. [przypis edytorski]

¹⁸fizjonomia (daw.) — wygląd twarzy, ciała. [przypis edytorski]

Około jedenastej wieczorem Grodzki, który musiał nazajutrz rano wyjechać, pożegnał swoich przyjaciół i na zakończenie rzekł:

— Pani Heleno! Znienawidzę was, jeżeli w kłopotach nie odwołacie się do mnie. Jestem człowiekiem z jednej sztuki, nie lubię ceremonii między swoimi, a kogo kocham, to już całym sercem...

Rozrzewniona Helenka serdecznie ścisnęła go za rękę.

— No, a ty Władysławie — dodał — bierz się na ostro i rób pieniądze! Na honor! Jesteś jedynym facetem, w którego rękę rad bym widzieć miliony, bo wiem, żebyś je puścił, ale z pożytkiem i dla ogółu, i dla bliskich tobie!...

Gdy Grodzki wyszedł, Helena zajęła się sprzątaniami, Władysław zaś począł chodzić po pokoju i myśleć. W duszy jego ścierały się dwie idee: jedną z nich były obstalowane przez Józefa modele, drugą... Drugą Władysław chciał gwałtem wyrzucić za obręb świadomości.

— Kotły do modelu obstaluję u mosiężnika... — myślał.

„Bankierowa Welt kochała się w tobie” — szeptał jakiś głos.

— Ciekawym, ile mnie będą kosztowały? — mówił znowu Władysław.

„Kochała cię, czy słyszysz?...” — powtórzył ten sam głos.

Władysław poszedł do swego pokoju i począł przeglądać notatki, zostawione przez Grodzkiego. Nagle odwrócił głowę: zdawało mu się, że za jego krzesłem stoi jakieś wdziało, które mu nieustannie szepce do ucha:

„Kochała cię!...”

Wilski rzucił się na szezlong, oparł głowę na rękę i utkwiał wzrok w suficie. W tej chwili moce nadziemskie opanowały jego duszę i oto, co widział:

Pewnego dnia, młody, dziwnej piękności człowiek, ubrany we frak, jak przystało na suplikanta¹⁹, wszedł do gabinetu bankiera Welta.

Znakomity finansista siedział przed biurkiem, na którym leżało mnóstwo otwartych książek, tudzież stosy zapisanego papieru — i... czytał. Uwaga jego była tak mocno zajęta, że dopiero po upływie dwu minut zdołał spostrzec młodzieńca, który w prostocie ducha wywnioskował stąd, że bankier musi być wielkim człowiekiem.

Gdy Welt zbudził się ze swych głębokich rozmyślań, rzekł, uchylając haftowanej czapki:

— Ach! To pan Wilski?... Stokrotnie przepraszam! Pozwól pan, że zatrzymam czapkę na głowie. Człowiek tak wiele pracuje umysłowo, że aż doświadcza strzykań. Co pan rozkaże?...

Wilski, zamiast odpowiedzi, podał mu list. Bankier spojrział na pieczętkę i zdjął czapkę.

— Wiem, to pisze mój przyjaciel, książę.... Często ze sobą korespondujemy. Dobry chłopak! Tylko strasznie demokratyczny...

Potem otworzył list i w miarę odczytywania mówił:

— „Najuprzejmiej polecam łaskawym względom...” Dobrze! „Najzdolniejszy uczeń na wydziale mechanicznym. Bardzo pięknie! Wielki medal złoty...”

— Panie Wolski...

— Nazywam się Wilski.

— Panie Wilski, to musi być duży ten wielki złoty medal, który pan dostał?...

— Dostyc.

— Tak, ja to wiem!... Niech pan bez ceremonii siada, bardzo proszę.

Zaproszenie było zbyteczne, ponieważ Wilski sam już usiadł bez ceremonii.

Skończywszy czytać, Welt mówił dalej:

— Po tym liście dom mój jest dla pana otwarty. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Pan będzieś łaskaw pofatygować się do nas co czwartek na herbatę, począwszy od dziś dnia, o wpół do dziesiątej wieczorem.

— Czy mogę spodziewać się?... — wtrącił Wilski.

— Może się pan spodziewać najdystyngowanego towarzystwa w salonach mojej żony.

— Miałem w tej chwili na myśli posadę techniczną.

— Ach! Pan miał na myśli posadę?... O tym jeszcze pogadamy.

¹⁹suplikant (daw.) — osoba wnosząca prośbę. [przypis edytorski]

Wilski pożegnał go i zabierał się do wyjścia.

— Ale, ale!... Panie Wilski... Jak pan będzie pisał list do księcia, to proszę mu się pięknie kłaniać ode mnie.

Tego samego dnia na herbacie poznał Władysław panią Welt.

Była to kobieta w sile wieku, nie tyle piękna, ile majestatyczna, a zarazem pociągająca. Śniada jej twarz miała wyraz powagi i słodczy, a czarne oczy dziwnie rozmarzały ludzi.

W ciągu wieczora pani domu kilka razy przez czas dłuższy rozmawiała z Wilskim, który, mając głowę nabitą rozmaitymi planami, mówił tylko o nich. Bankierowa słuchała go uważnie i patrzyła na niego tak jakoś szczególnie, że Władysław, powróciwszy do domu, spać nie mógł.

Na drugi dzień Welt dał Wilskiemu korzystne zajęcie i uroczyście wezwał do jak najczęstszych wizyt.

„Ona cię kochała!...” — szeptał mu uporczywie głos, pod którego wpływem pewne fakty ukazywały się Władysławowi w nowym zupełnie świetle.

Na jednym z zebrań czwartkowych, gdy Wilski rozmawiał z bankierową o swym studenckim życiu, zbliżył się do nich pewien nowiniarz i opowiedział, że jakaś dama uciekła z kochankiem.

— Kobiety dla miłości wiele robią! — zakończył dowcipniś z uśmiechem.

Pani Welt surowo spojrzała na niego, a gdy odszedł, rzekła do Władysława swym spokojnym i przejmującym głosem:

— Tak, kobiety dla miłości wiele robią, lecz mężczyźni nie umieją tego ocenić!

To powiedziawszy, wstała i, nie patrząc na Wilskiego, przeszła do innej grupy.

Innym razem, gdy rozwijał przed nią plan towarzystwa budowlanego, przerwała mu nagle, mówiąc:

— Czy pan z kobietami zawsze rozmawia tylko o inżynierii?

— To zależy — odparł — z niektórymi mówię o sztukach pięknych, co zresztą jest bardzo nudne.

— Ach, tak! — odpowiedziała. — Mów pan zresztą cokolwiek.

Przymknęła oczy, oparła głowę na fotelu i z wyrazem spokojnego zachwyty na twarzy słuchała o potrzebie asfaltowania fundamentów, o kranach wodociągowych i gazie w mieszkaniach, a nade wszystko o żelaznym belkowaniu.

Wilski był w dziwnej pozycji. Miał narzeczoną, którą kochał, i znał kobietę, do której ciągnęły go instynkty. Gdy rozmawiał z panią Welt, czuł, że mu w żyłach płynie coś na kształt roztopionego ołowiu; lecz wrażenie to nigdy nie trwało przez czas dłuższy.

Niekiedy, ośmielony jej spojrzzeniami, postanawiał wspomnieć coś o miłości. Przy najbliższej jednak wzmiance tego rodzaju, wzrok bankierowej stawał się chłodny, a na ustach rysował się wyraz pogardliwy i niechętny. Przechodził wówczas do kwestii obojętnych, i znowu wszystko było dobrze.

Z początku Wilski tracił głowę wobec tej zagadki, z czasem jednak oswoił się z nią i myślał:

„Jaka szkoda, że ta kobieta jest tak chłodna i myśli tylko o kwestiach finansowych. Gdyby nie to, ludzie wariowaliby z jej przyczyny, a najpierw sam mąż!...”

I o niej to powiedział Grodzki, że szalała za Władysławem!

— To być nie może! — mruknął Wilski, otrząsając się z marzeń i powstając z szeslonga. — Pani Welt jest kobietą z marmuru i... banknotów...

„A jednak kochała cię” — szeptał głos.

— Głupstwo! — odparł z uśmiechem Władysław. — Kochała mnie, a przecie jej mąż nie daje mi teraz żadnego zajęcia.

„Od jak dawna?” — spytał głos.

— Od... dnia ślubu mego — odpowiedział Władysław.

„A zarazem od dnia, w którym pani Welt, dowiedziawszy się o twym ślubie, ciężko zachorowała...” — dorzucił głos.

Zimny pot wystąpił na czoło Wilskiego. Podeszedł do okna i przysłuchiwał się padającemu deszczowi.

Wtedy ktoś zbliżył się do niego na palcach, otoczył mu rękami szyję, przycisnął wilgotne usta do jego ust spieczonych i rzekł nieśmiało i cicho:

Zdrada

Wizja

— Ale ty jej nie kochasz?...
Wilski oprzytomniał.
— Ciebie tylko kocham, Heluniu, ciebie i... pracę...
— Ale mnie troszeczkę więcej... Taką małą troszeczkę?...
— Taką dużą!... — odpowiedział mąż ze śmiechem.
Mary pierzchły.

IV. UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Był już początek kwietnia; śniegi znikły, a po ulicach przewiewał wiatr wiosenny. Wróciwszy pewnego dnia z miasta, Władysław przyniósł żonie kilka listków trawy, zawiadomił ją o tym, że widziano skowronki w polu i że dziś siada do obstalunków Grodzkiego.

Do tej pory nie zajmował się nimi, miał bowiem od jednego z inżynierów miejscowych pilną robotę, nad którą przepędził kilkanaście dni i kilka nocy.

Jakoż rozpiął papier na rajzbrocie i zatemperował ołówki.

— Wiesz, Władziu — odezwała się Helenka — że niezadługo wyjmiemy podwójne okna? Ale prawda! Przeszkadzam ci... Już nic nie będę mówiła. Może ci rozetrzeć tusz?

W tej chwili wszedł do przedpokoju jakiś człowiek.

— A co to? — zapytała Helenka.

— Telegram z Krakowa do pana Władysława Wilskiego. Proszę o pokwitowanie.

— Z Krakowa?... — rzekł nieco zdziwiony Władysław, odbierając kopertę — Daj mu tam dziesięć groszy, Heluniu.

Gdy otworzył depeszę, zdziwił się jeszcze bardziej, przeczytawszy co następuje:

„Wierny sługa ś. p. Edwarda winszuje. Pogrzeb wczoraj. Czekam na rozkazy. — Kłopotowicz.”

— Co to jest? — zapytała Helenka.

— Nie rozumiem! — odparł Wilski — Przypuszczam tylko, że mój stryj umarł i że jego plenipotent²⁰ zwariował.

— Twój stryj umarł, ten bogacz?... Może ci co zapisał?...

Władysław machnął ręką z uśmiechem.

— To się po nim nie pokaże! W ciągu całego życia dał mi trzydzieści rubli i wąpnię, aby był hojniejszy po śmierci.

— W każdym razie coś w tym jest — rzekła Helenka.

— Co ma być! — odpowiedział Władysław i usiadł do roboty.

W kwadrans później Helenka odezwała się znowu:

— Żeby ci tak choć z dziesięć tysięcy zapisał?...

— Nie bój się, nie zapisze.

— No, pocałuj żonę.

Władysław polecenie najsumienniejszym wykonał, lecz nie porzucił roboty.

W godzinę przyszedł drugi telegram tej treści:

„Hrabia P. daje za willę nad Renem pięćdziesiąt tysięcy reńskich. Nieboszczyk zapłacił trzydzieści tysięcy. Czekam tydzień. — Adwokat X.”

— Poszaleli widocznie! — mruknął Władysław, rzucając depeszę na ziemię.

— Ależ kochany Władziu, w tym coś jest — mówiła wzruszona Helenka. — Widocznie stryj musiał ci tę willę zapisać...

— Dzieciństwo! Całe życie usuwał się ode mnie...

— W każdym jednak razie trzeba coś zrobić.

— Ja też robię rysunki dla Grodzkiego.

W tej chwili przyszedł trzeci telegram:

„Kraków, dnia... Władysław Wilski, inżynier-mechanik w Warszawie.

— Zmarły Edward Wilski zapisał panu sto tysięcy reńskich gotówką, pięć kroć²¹ w nieruchomościach. Testament u mnie. Pogrzeb wczoraj. Czekam na polecenia. — Adwokat Y.”

²⁰plenipotent — pełnomocnik. [przypis edytorski]

²¹pięć kroć (daw.) — pięć razy tyle. [przypis edytorski]

— Czy to być może, Władziu!... — krzyknęła Helenka, klaszcząc w ręce.

W pokoju stał woźny z telegrafu.

— Winszuję jaśnie wielmożnemu panu dobrej nowiny! — rzekł.

Władysław dał złotówkę. Woźny wyszedł, skrobiąc się w głowę i mrucząc.

— Władziu! — zawołała znowu Helenka. — Ty musisz iść...

— Dokąd?

— Czy ja wiem dokąd?... Chyba do telegrafu.

— Po co?

— Czy ja wiem po co?... O, Boże! Jakie to szczęście!

Wyszła do swego pokoiku i klękała przed obrazem. W tej chwili jednak zerwała się, wybiegła do kuchni i uściskała zdziwioną i uradowaną Mateusową. Potem znowu uklęknęła i zmówiła pacierz.

Wróciwszy do pracowni, zastała męża rysującego.

— Ależ daj pokój, Władziu — zawołała — Czy może być, aby to ciebie nie obeszło!...

Doprawdy, że ja się ciebie boję?... Ile to na nasze pieniądze wyniesie?

— Prawie pół miliona rubli — odpowiedział spokojnie Wilski.

— I ty się nie cieszysz nic?... Nic, ale to zupełnie nic?...

Władysław położył ołówek, wziął żonę za ręce i, topiąc w niej wzrok poważny, rzekł:

— Powiedz mi, Heluniu, czy od tych kilkunastu minut przybyło mi sił, zdrowia, rozumu, uczciwości?... Prawda, że nie!... A przecież to są największe skarby.

— Zawsze jednak pół miliona...

— Jesteśmy tylko kasjerami, w rzeczywistości bowiem pieniądze te nie do nas należą. Powiedz sama, czy potrafimy je przejeść, przepić lub wydać na zabawy, a zresztą czy by to było uczciwie?...

Helenka uwiesiła mu się na szyi i okryła pocałunkami.

— O, mój mężu! — zawołała. — Nie rozumiem cię, ale widzę, żeś zupełnie inny, aniżeli wszyscy ludzie.

Wkrótce potem, jakby nic nigdy nie zaszło, zmieniła kanarkowi wodę, dosypała siemienia i wzięła się do szycia mężowskich koszul.

„To płótno — myślała — jest tak grube, jak było pierwej. Dobrze mówi Władysław, że majątek nic nie zmienia!”

Była już zupełnie spokojna.

Wilski tymczasem wciąż rysował. Gdy zapadł zmrok, począł chodzić w milczeniu po swej pracowni, potem zapalił światło i zbliżył się znowu do rajzbretu.

Teraz dostrzegł, że zrobił w planie ważną omyłkę. Rozdarł go więc i na skrawku papieru zaczął pisać jakieś proporcje i cyfry pojedyncze, z których ostatnia była: 25, 000.

— Dwadzieścia pięć tysięcy — szepnął. — To znaczy przeszło sześćdziesiąt rubli dziennie bez pracy i kłopotów!...

— W czym by to umieścić? — mówił dalej — Papiery ciągle zmieniają wartość, a przy tym pożar... Złodziej!... Banki?... Któryż bank daje bezwzględna pewność!... Domy! ... A wojna i bombardowanie?...

„Prawdziwe szczęście — przypomniał mu Epiktet — trwa wiecznie i nie może być zniszczone. Wszystko, co nie posiada tych dwu własności, nie jest prawdziwym szczęściem.”

Wilski słyszał echo tych wyrazów w swej duszy, lecz nie rozumiał ich. Czuł, że w tej chwili pewne zdania są dla niego tylko pustym dźwiękiem, i że ich treść pierzchnęła razem z ubóstwem. Natomiast z głębin jego umysłu wynurzyły się inne zdania, dziwnym jakimś, nieznanym mu dotychczas opromienione blaskiem:

„Najwyższa zrzeczność — mówił La Rochefoucauld²² — polega na tym, aby dokładnie znać prawdziwą wartość rzeczy.

— To pewna — szepnął Wilski — że nie znam dotychczas wartości dwudziestu pięciu tysięcy rocznego dochodu.

Było już późno. Znużona Helenka ostrożnie uchyliła drzwi:

— Ty jeszcze pracujesz, Władziu?

— Tak! — odpowiedział, nie podnosząc głowy.

²²François La Rochefoucauld (1613–1680) — francuski pisarz i filozof. [przypis edytorski]

— Dobranoc ci... Takie masz gorące czoło!...

— Jak zwykle.

— Mógłbyś dziś wcześniej się położyć, masz już przecie majątek... Dobranoc!

Omyliła się. Krocie tysięcy odbierają sen.

Teraz przyszedł Władysławowi na myśl Grodzki. Wspomnienie inżyniera spotęgowało rumieńce na jego twarzy.

— Dobry chłopak — rzekł — ale strasznie szorstki.

Z kolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciotce, biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo dawał obiady, o ludziach nie mających roboty, o projektach obrachowanych na ogólny pożytek, i niewymowna gorycz napelniła mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym poznał się w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z pobłażliwym uśmiechem i w konkluzji rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych, mają jedną dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wizytorii²³ dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!...

— Tak! — szepnął Władysław. — Majątek mój jest za duży na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego wypadłoby niecałe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg tych medytacji. Wilski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, jak człowiek, który już wie, co mu zrobić wypada.

„Cnoty toną w interesie, jak rzeki w morzu” — powiedział La Rochefoucauld. Miał słuszność.

Władysławowi głowa pałała, pulsa biły jak młoty. Otworzył lufcik i głęboko odetchnął. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród pomroki niknie przeciwległa ściana pracowni, odsłaniając przed jego oczyma wykwintny buduar²⁴, pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu pokrytym ciemnozielonym aksamitem siedziała, a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwyty na śniadej twarzy.

„Mów cokolwiek! — szeptało widmo — Niech usłyszę głos twój...”

— Ach! Ach! — rozległ się jęk w pokoju Helenki.

Wilski wybiegł tam.

— Co ci jest, Heluniu?... — zawołał.

— To ty, Władziu?... Nic... Śniło mi się coś, zresztą nie wiem...

— Może nasze miliony? — spytał z uśmiechem.

Nie odpowiedziała nic i znowu usnęła.

V. PIERWSZE KROKI

Szatan i obłąd panują zawsze w nocy; dzień jest ojcem zdrowego sądu. Wilski z rana wstydział się wczorajszych przywidzeń i spokojnie myślał o obowiązkach, których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy.

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw i projekty, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swej fortunie Grodzkiemu i wezwać go na wspólnika.

Do czego na wspólnika? — jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy, usłyszał, że go ktoś woła, Obejrzał się i zobaczył karetę, z której wysiadał Welt.

— Szedłeś pan do mnie! — rzekł bankier tonem niezachwianej pewności — Winiszuję! Podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

— O czym pan mówi?

— Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi, i nawet dziś mogę panu ofiarować sto tysięcy na osiem procent. Nigdzie pan nie dostaniesz taniej.

²³wizytorium — drażniący plaster używany jako środek leczniczy. [przypis edytorski]

²⁴buduar (daw.) — pokój kobiety, służący do wypoczynku. [przypis edytorski]

Oszołomiony Wilski milczał.

— Naturalnie, zgadzasz się pan — mówił dalej Welt. — Siądźmy do mojej karety... Musisz się pan wyekwipować przyzwoicie. Zaraz panu odliczę pieniądze, a w wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, który mnie zachwyca! Stangret zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Wilski: to moja zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu, bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelci.

Wilski machinalnie poszedł na górę i za chwilę był już w salonie.

Czekał minutę... Dwie... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę, rzekła zmienionym głosem:

— Dawnośmy się nie widzieli!

Na twarz jej wybiegł rumieniec.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałam się o pańskim... nie wiem jak nazwać... Ludzie nazywają to: szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze... serdecznie wieszczę panu!

Wilski pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna.

Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z pewnego rodzaju przymusem, następnie śmielej. Nagle usłyszeli na schodach głos Welta.

Pani Amelia zmieniła przedmiot rozmowy i zapytała prędko:

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedy?

— Jeszcze nie wiem dokładnie.

— Ja chciałabym także wyjechać.

— Kiedy? — spytał znowu Wilski, czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelia zawahała się.

— To jeszcze nie jest pewne — rzekła.

Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczorem... — dodała szybko stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilę razem, po czym zabrał Wilskiego do swej kancelarii. Tam przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie pożegnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie — rzekł bankier w końcu — jestem człowiekiem, którego do rany można przyłożyć. Ja dla projektów pańskich miałem zawsze wielką sympatię, i gdyby nie... No, pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!... Sądzę także, że nie pogniewasz się pan na Amelcię, jeżeli powiem, że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumiewaniu się. Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiek pomysłowy i szczęśliwy, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już we drzwiach, Welt zawołał:

— Ale!... Ale!... Wiesz pan co?... Mówmy sobie ty! Między przyjaciółmi i współnikami nie powinno być ceremonii. To moja zasada, Władziu.

Wróciwszy do domu, Wilski zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali, i kilka próśb od ubogich osób, które chyba cudem dowiedziały się o jego fortunie.

— Oto jest natura ludzka! — rzekł ze śmiechem.

— W każdym jednak razie wesprzesz, Władziu, tych biedaków. Któż wie, czy i oni już od dawna nie wydali ostatniego rubla? — odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć; śmiejąc się, opowiedział żonie o serdeczności Welta, pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczorem musi wyjechać do Krakowa.

— To pojutrze! — szepnęła Helenka, blednąc. — Tak mi będzie smutno...

Uściskał ją i już nie mówili o podróży.

Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

— Wzięłem na Krakowskim pięć pokojów, przedpokój i kuchnię za osiemset rubli...

— Tak nam tu było dobrze! — odpowiedziała Helenka. — O!... Już na nowym mieszkaniu nie spotka nas szczęście...

— Prócz tego — mówił mąż — będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszką?

— Ach! Prawda... Zresztą, jeszcze pomyślimy o niej.

Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny, pochmurny i słotny. Wilski był zadumany. Helenka wdychała. Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczoru.

Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprowadzę cię na kolej, dobrze?...

— Daj pokój, aniołku, możesz się zaziębić.

O dziewiątej na podwórzu zajechał powóz.

Władysław powoli włożył palto i torbę podróżną... W pokoju śmiertelne panowało milczenie...

— Za parę tygodni wrócę... — rzekł stłumionym głosem.

— Wrócisz?... — szepnęła Helenka, opierając głowę na jego piersiach.

W tej chwili jakiś szorstki przedmiot dotknął ręki Wilskiego.

To stara Mateuszowa całowała go.

Wybiegł śpiesznie za drzwi, lecz w połowie schodów zatrzymał się. Zdawało mu się, że go ktoś obejmuje za nogi.

Chwilę pomyślał i wrócił na górę głęboko wzruszony. Stojąca w przedpokoju Helenka upadła mu na szyję i rzewnie płakała.

— O, nie zapomnij o mnie! — mówiła, łkając.

Powtórnie wyszedł, a tym razem wybiegła za nim Helenka.

— Władziu!

— Co każesz?

Znowu uwiesiła mu się na szyi, ścisnęła go namiętnie i szeptała:

— Nie zapomnisz?... Wrócisz?

Siedząc w powozie, podniósł jeszcze oczy do góry i w oknie drugiego piętra zobaczył uchyloną roletę i jakiś cień.

Powóz wyjechał z podwórza.

„O, nie zapomnij o mnie...”

Mgła zawisała nad ulicami, latarnie rzucały blask czerwony, dokoła rozlegały się kroki przechodniów i turkot wozów.

„Nie zapomnisz... Wrócisz!...” — szeptało echo.

*

Wilski dojechał do dworca wzruszony i rozdrażniony. Oddał pakunki tragarzowi i pobiegł wprost do salonu pierwszej klasy.

Zastał tam kilkanaście osób, same twarze obce. To uspokoiło go. Odetchnął jak człowiek, którego minęło niebezpieczeństwo, i jeszcze raz pożegnał w myśli Helenkę.

W tej chwili usłyszał głos wchodzącego Welta.

— Cudownie! Więc i ty wyjeżdżasz?

— Jak widzisz.

— Wyobraź sobie, że i Amelcia jedzie. Wysyłam ją do Krakowa w pewnym interesie, który wymaga... no, wiesz czego? ... Tego tylko, co ona ma.

Pani Welt była milcząca i nie w humorze.

Wilski wyszedł po bilet. Gdy wrócił, rzekł bankier ze śmiechem:

— Patrz, co to są kobiety! Onegdaj zdecydowała się jechać, dziś grymasiła, a w tej chwili powiada, że boi się zaziębienia i że chętnie zostałaby do jutra.

— Może i słusznie — odparł Wilski chłodno. — Szkoda, żeś mnie nie zapoznał z interesem, byłbym go załatwił.

— Gdzie znowu! Ty masz głowę zaprzętą krociami, a tu sprawa pilna i wymaga zimnej krwi. Nie, to tylko ona dobrze załatwi!

Zadzwoniono i podróżni poczęli zajmować miejsca. Nagle Władysławowi uderzyła fala krwi do głowy: ujrzał on między fałdami powłóczystej sukni — kształtną i drobną nóżkę bankierowej...

Na ten widok zapomniał o żonie, o wzruszeniu i o niesmaku, jakiego doznał przed chwilą...

— Siadajże, Władysławie! — krzyknął bankier.

Rozległy się okrzyki pożegnania, pociąg ruszył, lecz Władysław nie uważał tego. Nie mógł tchu złapać.

— Oryginalna pozycja! — odezwała się nagle pani Welt — W tej chwili widziałam Świątynickiego i jestem pewna, że jutro w całej Warszawie mówić będą, że uciekłam z panem, w asystencji²⁵ i za upoważnieniem męża.

— I cóż nam to szkodzi? — spytał Wilski, topiąc w niej palające spojrzenie.

— Panu niewiele, mnie więcej! — odparła poważnie.

— W każdym razie fakt już się stał, i cokolwiek...

Nie dokończył, ujrawszy wzrok Amelii. Zarazem jednak teraz dopiero zauważył, że byli sami.

Nastąpiło długie milczenie, w ciągu którego bankierowa obojętnie wyglądała przez okno, a Wilski... utracił resztę przytomności.

Nagle, tuż przy nogach pani Welt, upadła mu rękawiczka. Gdy się schylił, aby ją podnieść, uczył, że rękaw jego paltota otarł się z lekka o jej bucik.

Teraz zdawało mu się, że w ciele, zamiast mięśni²⁶, ma rozgrzane stalowe sprężyny, że mu piersi pękają, lub, że spali go własny oddech. Podniósł oczy na Amelię i pomyślał, że gdyby między nią a nim ustawiono mur bagnetów, rozbiłby go jak kępę trzciny.

— Spodziewam się, że mnie pan zapoznasz ze swoją żoną?... Będę panu bardzo wdzięczna!... — rzekła bankierowa głosem, który jak ostrze noża przeszył mu serce.

W milczeniu i gorączce czekał do rana. Gdy pociąg stanął na granicy, Wilski posłał telegram do żony.

Pożądanie

VI. PIEKIELNA DRABINA

W Krakowie Władysław pożegnał się z bankierową prawie chłodno, a następnie, zajęty interesami, kilka dni jej nie widział. W ciągu tego czasu zapoznał się bliżej ze stanem swego majątku, odebrał od Helenki parę listów, pełnych tęsknoty i wezwań do przyjazdu, i przypomniał sobie dawnych znajomych, ludzi po większej części ubogich, dla których postanowił coś zrobić.

W końcu pierwszego tygodnia odebrał list z Warszawy i bilet z Krakowa. Poznał pismo na obu i wziął się do pierwszego.

List z Warszawy pisał ubogi student, który u Wilskich bywał na obiadach co czwartek. Młodzieniec w prostych, lecz serdecznych wyrazach powinszował Władysławowi spadku i wyraził żal z tego powodu, że nie mógł go przed wyjazdem osobiście pożegnać.

— Biedaczysko — rzekł Władysław. — Spróbuję też posłać mu pieniądze. Wiem, że się nie obrazi, gdy z nim pogadam szczerze, choć listownie.

Następnie otworzył bilet, który zawierał te słowa:

„Nigdy nie spodziewałam się, abyś pan mógł skazać swoją współrodaczkę na śmierć z nudów. Czekam dziś z herbatą. — A. Welt.”

Wilski ruszył ramionami. Ponieważ zaś było dosyć wcześnie, wyszedł więc do miasta.

Błądząc machinalnie po ulicach, dostrzegł na jednej z nich sklep szewcki²⁷ z wystawą, a na niej między obfitą kolekcją różnokolorowego obuwia — mały, czarny, węgierski bucik.

Postał tu chwilę i znowu począł błądzić. Na twarz wystąpiły mu ciemne rumieńce, a umysł opanowały pomieszane marzenia.

I widział się w Warszawie w ciasnej izdebce na poddaszu. Pokój był zimny, a on zrozpaczony i głodny.

Nagle uchyliły się drzwi i stanął w nich jakiś człowiek niski, pękaty i uśmiechnięty z czapką w ręku. Był to sąsiad jego z poddasza, ubogi rękawicznik²⁸.

²⁵asystencja (daw.) — towarzystwo. [przypis edytorski]

²⁶mięśnie — mięśnie. [przypis edytorski]

²⁷szewcki — dziś popr.: szewski. [przypis edytorski]

²⁸rękawicznik — rzemieślnik zajmujący się wyrobem rękawiczek. [przypis edytorski]

— Co pan każe? — spytał go Władysław.
— Ja nie każę, ja przyszedłem prosić — odparł gość. — Panie! — mówił dalej — co tu między nami w bawelnę owijać. Niech mi pan zrobi jedną łaskę...

— Jaką, panie?

— Niech mi pan pozwoli u siebie w piecu zapalić i obiad sobie przysyłać!

— Ależ...

— Już wiem, co pan powie — przerwał rękawicznik — ale to się na nic nie zda. Pan jest młody, uczony, pan może jeszcze mieć stanowisko na świecie, i jeżeli nie mnie, to moim dzieciom odda pan te obiady z procentem... No, panie!... Bo nie odejdę stąd.

I z tymi słowy zacny człowiek wyciągnął do Wilskiego rękę. Biedacy uściskali się i nastąpiła zgoda.

W tej chwili między tym obrazem z przeszłości a bogaczem teraźniejszości stanęło widmo czarnego węgierskiego bucika. Władysław ocknął się i poszedł do bankierowej.

Zastał ją w salonie z bukietem róż. Uśmiechnęła się i podając mu rękę, rzekła tonem łagodnej wymówki.

— Nie powinnam się witać z panem!

— Tłumaczą mnie zajęcia — odparł Wilski.

— Ale wytłumaczą pana wtedy dopiero, jeżeli dzisiejszy wieczór mnie poświęcisz. Bywam niekiedy dziwnie zmęczona, a gdybym wówczas nie zobaczyła sympatycznej twarzy i nie usłyszała głosu... Czy ja wiem, co bym zrobiła?!...

Wilski słuchał jej zdumiony i rozmarzony...

Cały wieczór mówili o kwiatkach, o wiośnie i okolicach górskich, jak student z pensjonarką, półgłosem — jak w pokoju chorego.

Okolo jedenastej, Władysław, zabierając się już do odejścia, rzekł:

— Czy da mi pani jeden z tych kwiatów?

— Na co?...

— Na pamiątkę dnia dzisiejszego.

— To prawda — odparła — że w życiu mało jest dni podobnych.

A potem, urywając różę, dodała:

— Weź ją pan jako symbol naszej przyjaźni.

Oczy jej były wilgotne.

Władysław wrócił do domu jak pijany, nie wiedząc co myśleć i w co wierzyć. Gdy upadł na łóżko, drżał jak w febrze i usnął w gorączce, mruczając przez zaciśnięte zęby:

— Bądź co bądź, ona mnie kocha!... Byłbym bydłem, gdybym odpychał to szczęście, lub rujnował je niecierpliwością...

Na drugi dzień był przez panią Welt zaproszony na obiad. Przed wyjściem przypomniał sobie ubogiego studenta i posłał mu pieniądze z krótkim listem, który podług niego był bardzo przyjacielski, w istocie zaś wykazywał oziębłość i roztargnienie.

Od tej pory los jego był już zdecydowany. Do żony pisywał listy coraz rzadziej, donosząc jej o powikłaniu interesów, u bankierowej zaś bywał coraz częściej i dłużej. Wierny jednak zasadzie cierpliwości, zadowalał się rozmową, uściskiem ręki i spojrzeciami, które co dzień stawały się bardziej rozmarzone i namiętne.

Niekiedy zdawało mu się, że nowicjat jego trwa zbyt długo. Wówczas próbował być śmielszym, lecz pani Welt jednocześnie stawała się ozięblejszą, Władysław szalał. Bywały chwile, że chciał wracać do Warszawy, lecz postanowienia jego prędko słabły i mówił:

— Jeszcze jeden dzień... Ostatni!...

Była już połowa maja. Bankier naglił żonę do powrotu i pani Amelia coraz częściej poczęła o tym wspominać.

— Jeszcze tylko jeden dzień!... — prosił Wilski.

— Masz pan słuszność — odpowiedziała i znowu zostawiała.

Interesy były już ukończone, dobra po nieboszczyku sprzedane, gotówka w ręku Władysława, ale on o to nie dbał, dla niego cały świat skupiał się w gabinecie bankierowej, a całe życie streszczało się w tej jednej myśli:

„Jeszcze jeden dzień!...”

Krociowy spadek był złotą nicią, po której do duszy jego wkradła się straszna choroba. Wiedział o niej, rozumiał, że się z niej potrzeba uleczyć i czuł, że się uleczy, ale kiedy?...

Przeklęte szczęście!

Miłość

Pewnego dnia odebrał dwa listy z Warszawy.

Jeden był z pieniędzmi i pochodził od ubogiego studenta.

Młodzieniec zwracał przysłane banknoty i w słowach pełnych szacunku, ale też i wielkiego żalu, dał mu poznać, że nie prosił o jałmużnę i że jej nie przyjmuje.

— Źle się stało — szepnął zmartwiony Władysław — lecz spróbujemy to odrobić.

Przekłęte szczęście!

Drugi list był od żony.

Helenka donosiła, że złożyli jej wizytę bogaci krewni, których znała w dzieciństwie. Państwo ci gwałtem zapraszali ją na wieś, dodając, że ponieważ sami wyjeżdżają za granicę, więc ofiarują jej cały dom. Tak byli pewni, że ofiary ich nie odrzuci, iż zostawili w Warszawie swój powóz i służącego.

W dopisku ostrożnie nadmieniła, że i lekarze kazali jej wyjechać na wieś.

O powrocie jednak Władysława nie było żadnej wzmianki. On przecież nie zwrócił na to uwagi, i nic dziwnego! Nie był Duchem Świętym, aby wiedzieć, co mówią w Warszawie o jego stosunkach z bankierową.

Mimo to list ten przeraził Wilskiego.

— Helenka widocznie jest chora — myślał. — Może to co groźnego?... Muszę wracać.

Wieczorem, jak zwykle, poszedł do pani Welt, a gdy od niej wrócił, napisał list do żony. Prosił ją, aby koniecznie wyjechała na wieś, i doniósł, że wkrótce sam do niej przyjedzie.

Nim zasnął, zdawało mu się, że widzi żonę bladą i smutną, która z ogromnej odległości wyciąga do niego rączki szczupłe i jak alabaster przejrzyste.

„Ty wrócisz?...” — mówiło echo.

— Jeżeli zobaczę Helenkę, wyrzeknę się Amelii — szepnął, a potem dodał — Zrobiłem wielkie głupstwo!...

Obudziwszy się, wysłał list, w parę dni potem odebrał telegram, że Helenka już wyjechała na wieś.

Pobiegł do pani Welt i wesoło zawołał;

— Wracajmy!

— Czas już wielki — odpowiedziała.

I wrócił znowu razem i znowu na dawnej stopie.

— Jeszcze jeden dzień!... — myślał Władysław.

Przekłęte szczęście!...

VII. OSTATNIE SZCZĘBLI

W końcu czerwca Welt wyjechał za granicę, zostawiając majątek pod opieką żony, a żonę pod opieką przyjaciela. Miasto trzęsło się od plotek, o których osoby zainteresowane, jak zwykle, najmniej wiedziały.

Helenka pisywała do męża niewiele i rzadko. Gdyby uważniej czytywał jej listy, uleczyłby się może prędzej. Na nieszczęście nie był teraz zdolny do tego. Płynęły miesiące, a on szalał i mizerniał, zaniedbując wszystko i wszystkich.

Pani Welt dostrzegła to, i gdy raz byli sami, rzekła:

— Wyglądasz pan dziś bardzo interesująco.

— Czy nie domyślasz się pani powodu? — zapytał stłumionym głosem.

— Mój Boże, znam się wprawdzie trochę na finansowości, ale o medycynie nie mam pojęcia — odpowiedziała, patrząc na brylant swego pierścionka.

— W tym razie wystarczy znajomość najpospolitszych uczuć ludzkich!... — rzekł, przysuwając do niej krzeselko.

— Najpospolitsze uczucia ludzkie nie zasługują na to, aby się nimi zajmować — odparła wyniośle.

Wilski zerwał się z krzesła i w najwyższym wzburzeniu zawołał:

— Czuję, że powinienem uciec od pani!...

— A ja czuję, że powinieneś pan zostać! — szepnęła, patrząc mu figlarnie w oczy.

Władysław usiadł znowu i wziął ją za rękę.

W tej samej chwili ktoś zadzwonił i wszedł do salonu.

W końcu sierpnia, kiedy miłosne uniesienia Władysława dosięgły zenitu, odebrał on od Grodzkiego z Londynu telegram tej treści:

„Z modelami zrobiłeś mi przykry zawód. Odeślij przynajmniej notatkę, którą ci zostawiłem.”

Depsza ta rozgniewała Wilskiego, bez namysłu więc odpisał:

„Zwracam pieniądze, notatka gdzieś zginęła.”

Na to nie odebrał już odpowiedzi.

Większą część dnia przesiadywał u bankierowej. Gdy była z nim, pożerał ją wzrokiem; gdy wyszła, myślał o niej, lub z rozkosznym niepokojem przysłuchiwał się szelestowi jej sukni.

Pewnego dnia w czasie jej nieobecności ukląkł i ucałował miejsce na dywanie, którego zazwyczaj dotykały jej stopy.

Począł miewać widzenia na jawie coraz częstsze, a niekiedy symboliczne. Raz, zdawało mu się, że na skrzydłach z listów zastawnych wzleciał na szczyt wysokiej skały, z której zaraz potem spadł w przepaść. Innego dnia, jakoś we wrześniu, wracając do swego mieszkania, spotkał na schodach dawną znajomość. Był to ów litościwy sąsiad z poddasza, rękawicznik, strasznie wynędzniały i ubogo ubrany.

— Ach! To pan?... — rzekł Władysław, otwierając drzwi.

— A ja! Przyszedłem... Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowiu jaśnie pana — odparł biedak, zdejmując czapkę.

— Dziękuję! Tak, mam się nieźle! — rzekł Wilski i zamknął drzwi za sobą.

W kilka godzin później pomyślał, że niegdyś karmiciel jego musi być w ciężkiej potrzebie. Zapragnął dowiedzieć się o jego mieszkaniu i w tym celu zadzwonił na służącego. Wyciągnął nawet rękę, ale, że dzwonek stał na drugim końcu biurka, dał więc spokój.

Nie było to znuzenie ciała, ale coś na kształt psucia się duszy. Piorun orzeźwiłby go niewątpliwie.

Miewał też chwile opamiętania. W jednej z takich chwil rzekł do siebie:

— Trzeba raz skończyć!...

Postanowienie to musiało być bardzo poważne, Wilski bowiem orzeźwił się po nim i z wyrazem stanowczości w fizjonomii poszedł do bankierowej.

Zastał ją w karecie; wyjeżdżała właśnie do Ogrodu Botanicznego. Otrzymałszy zezwolenie, usiadł obok niej i pojechali razem.

Gdy byli w ogrodzie, Amelia rzekła:

— Patrz pan, jak już liście więdną!

— Liście więdną, serca więdną... Tylko kiedy dla pierwszych wiosna powtarza się co rok, dla drugich jedna jest tylko wiosna i jedna jesień.

Słowa to były prorocze, on jednak nie wiedział, do kogo się stosowały.

Zajęli ławkę na małym wzgórzu, skąd cudny roztaczał się widok.

— Tu — mówiła Amelia — gnieźdzą się w maju roje słowików... Często siadałam tu i przysłuchiwałam się ich śpiewom. Ale teraz już odleciały...

Wilski oparł rękę na kolanie, głowę na rękę i milcząc, patrzył w ziemię.

— Uważam, że jesteś pan jakiś nie swój.

— Ma pani słuszność — odparł, podnosząc głowę — nie jestem swój, ale...

— Ale?

— Ale... Twój!...

Wziął ją za rękę; uściśnęła go lekko i patrzyła mu w oczy dobrotliwie.

Uczuł gwałtowne bicie serca, szum w uszach i... przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się.

Wtedy otoczył ją ramieniem i przysunął swoją palającą twarz do jej twarzy.

— Nareszcie!... — szepnęła.

— Panie! — zawołała błagalnym głosem — zaklinam cię, wyjdźmy stąd...

Powstał już inny. Czuł siły i pewność siebie, o których od dawna zapomniał. Podał Amelii rękę, przyjęła i szła niepewnym krokiem.

Gdy siedli do karety, osunęła się w głąb i przymknęła oczy.

Pocahunek

Konie pędziły jak wiatr, a w kilka minut potem byli już w domu.

Wbiegła prędko na schody i weszła do buduaru, a Wilski obok niej. Gdy padła na fotel, ukląkł i przypił się do jej ręki.

— Ty mnie kochasz — mówił — powiedz, że mnie kochasz. Niech choć raz dowiem się prawdy!...

W pokojach był mrok.

*

Wróciwszy do domu, zasnął twardo, i sen cofnął go o kilka miesięcy wstecz. Marzył, że się żegna z Helunią.

Zona jego była dziwnie mizerna; z jej niegdyś szafirowych, a teraz pobladłych oczu płynęły łzy. Uwiesiła mu się na szyi, lekka i nieujęta jak mgła, i bezdźwięcznym głosem szeptała:

— Powrócisz?... Ty powrócisz!

Zerwał się na równe nogi i uczył na twarzy dwie łzy gorące. Pot zimny oblał go, ręce mu drżały.

Była dopiero czwarta rano.

Nie położył się już i sam na kominku rozpałił ogień.

Siedząc przed ogniskiem, patrzył na dogorywające głownie i myślał... Co myślał? Ty, Stwórco, znasz niepokoje sumienia, które szarpią kły zgryzot!

Około siódmej rzekł:

— Jestem już inny...

Pewne jest, że swoje krocie oddałby teraz za żebracze łachmany, byleby w ich fałdach znaleźć spokojność.

Przekłęte szczęście!

VIII. *De profundis*²⁹

— Tak, jestem inny! — mówił Władysław. — Gdy los zdjął ze mnie uzdę niedostatku, zawróciło mi się trochę w głowie; ale dziś wytrzeźwiałem. Zresztą, może się i lepiej stało. Nabrałem doświadczenia, a choć straciłem trochę czasu, majątek przecie jest nietknięty!...

W tej chwili przyszła mu na myśl żona. Wyjął jej fotografię z biurka i wpatrywał się długo i rzewnie.

— Czy przebaczysz mi?...

Uśmiechnięte usta Heluni z całą łatwością wyszeptały wyraz przebaczenia, lecz niestety! Uśmiech ten z innych pochodził czasów.

Wilski był wesół jak dziecko; otworzył okno, z rozkoszą upajał się chłodnym powietrzem poranku i cieszył się widokiem złotych chmur, które wędrowały, Bóg wie skąd, może z tamtych stron, gdzie Helenka obecnie mieszka?

— O, gdybym ci mógł teraz upaść do nóg, aniele mój, najczystsza duszo!... — szepnął. Zadzwoił, wszedł służący.

— Zamów mi ekstrapocztę, dziś na wieczór, na dziewiątą — rzekł Wilski.

— Rozumiem...

— Ale, ale!... Co się stało z naszym kanarkiem?

— Zdechł, proszę jaśnie pana.

— Kup-że teraz dwa: samca i samiczkę i klatkę z gniazdem.

Służący wyszedł.

— Jerzy! — zawołał znowu Wilski, a gdy służący wrócił, dodał: Czy nie wiesz, co się dzieje z Mateuszową, która u nas dawniej służyła?

— Służy teraz na Piwnej ulicy; była tu nawet parę razy.

— Sprowadzisz ją do mnie i powiesz, żeby podziękowała za miejsce, bo wróci do nas.

Po chwili dodał:

— Jeszcze słowo! Gdzie mój warsztat i narzędzia?

— Na strychu, jaśnie panie.

²⁹*De profundis* (łac.) — z głębin, otchłani; słowa te rozpoczynają Psalm 130. [przypis edytorski]

— Trzeba je oczyścić i ustawić w moim pokoju.
Służący wyszedł, trzymając się za głowę.
— Chryste elejson! — mówił prostaczek. — A to coś do niego przystąpiło!... Jeszcze i nas gotów porozpędzać.

I za chwilę podzielił się wiadomościami z kucharką i pokojówką.
Wilski tymczasem szybko ubierał się, mówiąc:
— Ucieszy się, gdy jej wszystko opowiem. O, Heluniu!... O, błogosławione pieniądze!...

Począł gwizdać coś wesołego, lecz nie tyle z radości, ile raczej dla przytłumienia niepokoju, który gdzieś na dnie duszy nurtował.

Gdy wyjechał do miasta, wstąpił do biura telegrafu i napisał do Grodzkiego depezę:

„Serdecznie cię przepraszam za mimowolny zawód. Byłem chory. Przyjeżdżaj natychmiast, najlepiej od razu z dymisją.”

Telegram ten wysłał do Londynu i Petersburga.

— Dzielny to umysł! — mówił Władysław — Przy jego pomocy odgrzebię najpraktyczniejszy z moich planów i zacznę żyć... dla ciebie, Heluniu! a przez ciebie dla innych.

Potem pojechał do uniwersytetu zasięgnąć wiadomości o ubogim studencie. Po wielu poszukiwaniach spotkał jego kolegę.

— Co się dzieje z W.? — spytał.

— Dokładnie panu nie potrafię powiedzieć — odparł student — Wiem tylko, że się wypisał z uniwersytetu i wyjechał na guwernerkę, gdzieś aż na Podole.

— Dlaczego się wypisał? — zawołał przerażony Władysław.

— Co pan chce! Trudno się uczyć, mając w gotowości dziesięć palców.

— To pierwszy — mruknął Wilski i pojechał do biura adresowego dowiedzieć się o rękawiczniku.

Dano mu trzy adresy.

Jeden z nich zaprowadził go na ulicę Ogrodową, gdzie znalazł jakiegoś nieznanego człowieka.

— Mam jeszcze dwa!

Zamknął oczy i ciągnął na los szczęścia.

Tym razem pojechał na Pragę i dowiedział się, że adresat jest brukarzem.

Z trzecią kartką dostał się aż pod Wolskie roгатki. Wszedł do parterowego, drewnianego domku i znalazł w nim izbę ciasną, ciemną i wilgotną, lecz próżną.

— Gdzie jest rękawicznik, który tu mieszkał? — spytał stróża, dając mu rubla do ręki.

— Kto go tam wie, jaśnie panie! Tydzień temu, jak go zlicytowali i podział się gdzieś z synkiem.

— Miał przecie żonę i troje dzieci?

— Żonę? Mieszkał tu od Św. Jana, alem żony nie widział, a dwoje najstarszych dzieci zmarło jeszcze w sierpniu.

— Drugi... Trzeci i czwarty... — szepnął Wilski. — Chciałem pojechać do Helenki z faktami, ale ich widać zabraknie... O, Boże!

Nad wieczorem znalazł w biurze telegraficznym odpowiedź.

Z Petersburga odpisano:

„Grodzki jeszcze nie wrócił.”

Z Londynu zaś:

„Grodzki wyjechał.”

— Pewnie wraca morzem — pomyślał Władysław i wysłał znowu telegram do Petersburga, błagając przyjaciela, aby natychmiast przyjechał.

Tymczasem Grodzki wracał łądem i już opuścił Berlin. Depesze go nie znalazły.

Wilski od rana nie był u siebie i nic nie jadł; trucizna niepokoju starczyła mu za najlepsze potrawy. Do domu też nie miał odwagi wrócić; wszedł więc do Ogrodu Saskiego, upadł na ławkę i pogrążył się w bolesnych dumaniach.

— Cztery ofiary!... — mówił — Ja jestem winien, to prawda!... Ale za co oni cierpieli i cierpią?

Zapomniał, że ludźmi, oprócz praw moralnych, rządzą jeszcze prawa fizyczne. Zapomniał, że społeczeństwo jest całością, w której gdy jedna cząstka nie pełni swoich obowiązków, inne giną.

Gdy wrócił do mieszkania, służący mu drzwi otworzył, patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Czy nie było kogo? — spytał Wilski.

Był list.

Władysław chciał zapalić świecę, ale rozsypał zapalki. Palce zeszytywniały mu i służący musiał go wyręczyć.

List, pisany przez nieznaną osobę, był tej treści:

„Wielmożny Panie i Dobrodzieju!

Aczkolwiek obcy, ośmielam się wziąć pióro do ręki i parę tych wyrazów, w interesie jego zacnej i świętobliwej małżonki, nakreślić. Do tej pory wyraźne życzenie tej szlachetnej i wzorowej pod każdym względem białogłowy postanowienia moje hamowało.

Nie mówiąc wiele, bo to w podobnych wypadkach jest najgorsze i często prowadzi do wyrzeczenia tego, czego człowiek by nie chciał, uwiadamiam Wielmożnego Pana Dobrodzieja ze wszelką ostrożnością, że taż Jego najszanowniejsza małżonka ma się wcale niedobrze. Powiedziałbym: bardzo niedobrze, ale nie chcę przedwcześnie trapić go wiadomościami, które i tak zbyt prędko, niestety!...”

Wilski już nie kończył. Spojrzył tylko na drugą stronę zapisanego arkusza i przekonał się, że list pochodzi od miejscowego proboszcza.

Z gorączkowym pośpiechem narzucił na siebie futro, wziął pieniądze i w tej chwili wyjechał na pocztę, gdzie zażądał czterech koni. W godzinę potem był już daleko za miastem.

*

Na drugi dzień, około piątej wieczorem, pocztylion z ostatniej stacji, który wiozł Władysława, odwrócił się do niego i wskazując biczyskiem wzgórek, okryty żółkniejącymi już drzewami, rzekł:

— Oto tu, jaśnie panie, folwark Boża Wola...

— Boża Wola? — powtórzył Wilski.

— Piękny majątek, jaśnie panie!... Ziemia pszenna, las nie wycięty, nowy dwór, na stawie młyn... Zwyczajnie, jak u rzetelnej szlachty.

— Boża Wola! — wyszeptał Władysław.

Przejeżdżali około ogrodu; spoza obumierających drzew widać było białe ściany dworu. Wilski rzucił pocztylionowi pięć rubli, wysiadł z bryczki i przeskoczył niskie sztachety.

— O, to mu pilno!... — dziwił się pocztylion, trzymając czapkę w rękę.

Władysław zadyszany, nieprzytomny, przebiegł ogród i, stanąwszy na szczycie wzgórka, przez szklane drzwi oplecionego winogradem³⁰ ganeczku, ujrzał kilka wysokich świec, ustawionych w jednym rzędzie.

Zamknięte na klucz drzwi przysły pod naciskiem jego ręki.

Na niskiej, okrytej dywanem sofie, w czarnej wełnianej sukience (którą tak dobrze znał w dniach ubóstwa!), z krzyżem w głowach i świętym obrazkiem w rączkach, otoczone zapalonymi świecami, leżały zwłoki Heluni.

Wilski usiadł na krześle, oparł załamane dłonie na kolanach i patrzył bezmyślnie na jedną ze świec, z której spływały duże krople roztopionego wosku.

W uchylonych drzwiach widać było głowy ciekawej służby, która szeptała między sobą:

— To na pewno mąż?... Jużci, że mąż!...

³⁰winograd (daw.) — winnica. [przypis edytorski]

Po upływie kilku minut weszła jakaś stara kobieta, widocznie szafarka³¹. Przeżegnała się, parę razy westchnęła i, stanąwszy obok Władysława, poczęła mówić szpitalnym głosem:

— Ach! Biedactwo, a takie młode i dobreńkie!... Że też to Bóg miłosierny nie wolał śmierci dopuścić na mnie starą! ... Robiłam ja, panie com mogła. Dawałam jej mleka co dzień świeżego, wody żywicznej, kwasu ogórkowego, okadzałam, zażegnywałam, ale wszystko na nic! Choreńka już, niebożę, przyjechała z Warszawy!... Mówiłam nieraz: trzeba jaśnie panu dać znać, ale ona: nie!... i nie!... A w ostatnim już tygodniu powiedziała: „Moja Borkosiu! wynieście mnie na górkę, stamtąd lepiej widać!...” I po całych dniach, mówię panu, nic — tylko słuchała, czy gdzie bryczka nie zatrajkocze, czy kto drzwiami nie skrzygnie. Ale, że nikt nie jechał, ani wchodził, to mówiła po cichu: —„Oj! już ja go widać nigdy nie zobaczę... Nigdy!...” W ostatnim dniu kazała sobie dać papier i ołówek. Myślałam, że będzie list pisać, gołąbka moja, ale gdzie zaś!... Pisała tylko: „Władzio... Władzio... mój Władzio! Już nigdy nie wróci”. Ale, prawda! Jaśnie pan po podróży. Może pan jajeczniczy pozwoli, bo tak na razie nie ma nic z mięsa...

Wyszła z pokoju i już za drzwiami kończyła:

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci!...

Władysław wstał z krzesła, popatrzał na żółtą, jak wosk twarz zmarłej, na ciemne jak glina powieki i ściskając ją za chłodne i zeszywniałe rączki, szepnął:

— Heluniu, to ja!...

Zdawało mu się, że widzi żonę swoją w oknie górnego pokoju, nasłuchującą turkotu bryczki.

— Heluniu! To ja... — powtórzył. — Już jestem!... Spójrz na mnie...

„O, już go nigdy nie zobaczę!... Nigdy” — mówiło widmo.

— Ja przecież jestem, spójrz na mnie, Heluniu!... — jęknął Wilski.

„Tak długo czekam i nie doczekam się nigdy!...” — szlochało widmo, rozplywając się we mgle.

*

Na drugi dzień proboszcz i gromadka ludzi odprowadzała czarną trumienkę na cmentarz wiejski. W połowie drogi orszak ten spotkał bryczkę pocztową, z której wyskoczył Grodzki i stanął obok postępującego za trumną Władysława.

Przez cały czas Wilski był prawie nieprzytomny. Nie patrzył na nikogo i milczał.

Na cmentarzu jakiś głos odezwał się:

— Otwórzcie trumnę, może ją jeszcze zechce zobaczyć.

Władysław zdawał się nie słyszeć tego. Nie słyszał też ciężkiego łoskotu bryli ziemi, walącej się na trumnę, ani żalonych dźwięków pieśni:

„Witaj Królowo nieba i Matko litości!”

Gdy już wszyscy towarzyszący pogrzebowi rozeszli się, Grodzki dotknął ramienia Władysława i rzekł:

— Chodź ze mną...

— Jestem przeklęty! — odpowiedział Wilski.

— Jesteś tylko chory. Chodź ze mną.

— Czekala na mnie... Czy ty słyszysz?... Czekala i czekać będzie, w tym strasznym grobie, ale już nie zobaczy mnie nigdy!... Nigdy!...

Upadł z jękiem na ziemię, rozkrzyżował ramiona i w konwulsyjnym uścisku objął świeżą mogiłę.

³¹szafarka (daw.) — służąca zarządzająca spiżarnią. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-przeklete-szczescie>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Nowele Warszawskie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0754-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).